

KRZYSZTOF JARZĄBEK

**NIEBEZPIECZNE
ZWIĄZKI
MARIANA KLEPKI**



NOVAE RES

LATO 2015

1.

– To, co się tera aktualnie w naszym kraju dzieje, to to jest nic innego jak normalne skurwysyństwo! – Marian Klepka przeklinał tylko po pijanemu, a jako że kończył właśnie trzecie piwo, zaczynał sobie pozwalać, co przychodziło mu o tyle łatwo, że pił śląskie, które jest piwem mocnym. – Platfusy zasrane i te kmioty z Peeselu pozawłaszczali całe państwo, poobstawiali wszystko, popodwieszali się jeden pod drugiego i kradną, kurwy, po całości. Jak to wytłumaczyć, że jest dwa razy tyle urzędników co za komuny...? A sztuczne się posady tworzy, żeby tylko synalek, córunia, wujek i chujek mieli się gdzie zahaczyć. A Amber Gold? Przecież ten szczył palcem by se sam do dupy nie trafił, gdyby pleców konkretnych na wysokich stołkach nie miał. Zresztą tam jest wszystko jak na widelcu, widać na zdjęciu, kto samolot ciągnie. Sama śmietanka... Złodzieje, kurwa, i kryminaliści! A ta blondyna, jak jej tam, Sawicka, przekręt na ziemię zrobiła, sprawa ewidentna, dowody, nagrania, zeznania... I co? Popłakała się żoźła i ją uniewinili... Przecie tego sędziego, co ją puścił, się w kryminale

na długie lata powinno zamknąć! To jedna banda w tym sądownictwie! Komuchy zasrane...! A afera hazardowa? Na cmentarzu się skurwysyny spotykały! Już tam powinni zostać, to kilku złodziei mniej by po tym świecie chodziło. O podsłuchowej aferze nawet nie wspominam, bo chuj mnie jasny zara trafi...! – Klepce, który miał prawie siedemdziesiątkę na karku, ze zdenerwowania skoczyło ciśnienie, był czerwony na twarzy i ciężko oddychał.

Po przerwie na złapanie oddechu kontynuował:

– A to wszystko to jest nic, to jest wierzchołek góry lodowej! Na każdym jednym szczeblu się kradnie, VAT-y wyłudza, przetargi ustawia, pieniądze podatników się marnuje i w dupie się głęboko przeciętnego obywatela ma...! Ale wezmą się nasi za tych skurwysynów już niebawem. Do dupy się tym komuchom, agentom, złodziejom naleje i w kryminałach na długie lata wylądują.

– A te SKOK-i, co to tam te prawicowe piniądzów nakradli? – zapytał z wiejskim akcentem podobny do cygana obdartus w średnim wieku.

Gdyby nie jego brudny i poszarpany podkoszulek, wymięte spodnie od dresu, rozwichrzone włosy, sumiasty wąs w nieładzie i czarna jak smoła monobrew, mógłby w wąskich prowincjonalnych kręgach niewyżytych kobiet uchodzić za przystojniaka.

Marian nie mógł uwierzyć w zuchwałość tego dużo od siebie młodszego nieznajomego. Spojrzał groźnie na swoich towarzyszy i warknął:

– Kto to, kurwa, jest?! Kto go przyprowadził?!

– Nie denerwuj się, Marian. – Mały, chudy pijaczek zerwał się z ławki i zaczął uspokajać Klepkę. – To mój siostrzeniec, Rysiu Zając. Ze wsi niedawno do miasta przyjechał, roboty szuka, u mnie pomieszkuje, nieobyty jeszcze, życia nie zna, niedługo się przy mnie politycznie wyrobi jak trzeba. – Ochrypli ton pijaczka przypominał głos Jana Himilbacha.

– To masz tu, Jasiu, dwie dychy. – Marian wręczył pijaczkowi banknot. – Daj siostrzeńcowi i powiedz mu, że skokami to on ma do sklepu po piwo zapierdalać.

– Dzięki, Marianku. Pójdę z nim, trochę go do pionu po drodze ustawię – odrzekł Jaś i razem z Rysiem niemrawo ruszyli do sklepu.

– Skokami miało być! – zawołał za nimi Klepka i Jaś zaczął dyscyplinować siostrzeńca klepięciami w potylicę tak skutecznie, że ten po chwili zaczął skakać przed siebie jak kangur.

Kiedy opuścili niewielki osiedlowy park, Zając przestał skakać, a wuj zaczął go uświadamiać politycznie:

– Po co ty się, synek, do poważnych spraw mieszasz?! Co cię opętało, że z tymi swoimi SKOK-ami wyskakujesz?! Skąd ty w ogóle o tych całych SKOK-ach cośkolwiek wiesz?

– W telewizorze coś tam gadali... Że te z prawicy nakradły...

– A co tobie, gałganie jeden, prawica czy lewica?! Co ty się w te głupoty wpierdalasz...?! Ty w telewizji to se

rozrywki oglądaj, tańce z gwiazdami czy jak na lodzie się celebryty ślizgają, Kiepskich se oglądnij albo kabalet jak, albo sport, muzykę jakąś, w Polo Tiwi dobrą dają, a od polityki mnie wara, boś za głupi! – Jaś pogroził siostrzeńcowi pięścią. – Teraz uważnie posłuchaj, co ci powiem, i zapamiętaj: my z Profesorem już dwa miesiące za Marianowe pijemy i jak dobrze pójdzie, to jeszcze trochę popijemy. Marian jaki jest, taki jest, ale pieniądze, nie wiadomo skąd co prawda, ma i nie skąpi. Trzeba mu tylko przytaknąć, potwierdzić, poprzec, coś od siebie mądrego za prawicą czasem powiedzieć i jest gitara. I do kościoła co niedziela koniecznie, bo Marian bardzo jest wierzący, a jeszcze bardziej jego kobita, Bożena Klepkowa, co to hopla ma na tym punkcie, że ho, ho. Radio Maryja ciągiem u nich leci, a czasem to tak na cały regulator nastawią, że w całym bloku słyhać i się ludziska burzyć zaczynają, to ich wtedy Baśka od diabłów i komunistów wyzywa, a ryczeć baba tak potrafi, że aż się szyby trzęsą... A Marianowi pić prawie nie pozwala, to Marian tylko piwko jedno, dwa, chyba że mu kobita gdzie wyjedzie, a często na wycieczki autokarowe do świętych miejsc wyjeżdża, do Łagiewnik, Lichenia, Torunia, a raz nawet za granicą była tydzień w Meczugore, czy jakoś tak, tośmy tego wtedy z Marianem i Profesorem popili... Pieniądze, Rysiek, masz? Robotę masz? Popić lubisz?

– Ano sam wiesz, wujo, że roboty nijakiej na razie ni mom, a wypić jest mus.

– To jak wrócimy, grzecznie Mariana, pana Mariana dla ciebie, przeprosisz i powiesz, że już więcej nie będziesz, to ci odpuści. I co do grosika mnie się z nim za piwo rozlicz, bo on skrupulatny jest i na nieuczciwości wszelakie wyczulony bardzo.

– Tak, wujek.

Kupili piwo i wrócili na ławkę w sam środek zaangażowanego monologu wygłaszanego przez Klepkę do Profesora:

– ...a nie ma takiej możliwości, żeby nie wygrali. Sondaże pokazują jasno, chociaż większość z nich to ubecka robota. Sprawa się rozchodzi tylko o to, czy będzie większość, czy nie. Bo jak nie będzie, to czyszczenie państwa z tego całego ubeckiego gówna, z tych złodziei, ateistów, agentów trochę się może ślimaczyć, bo się trzeba będzie z kimś na koalicję dogadać, a wybierać z kogo nie ma, bo albo ten, jak mu tam, Kukiz, albo Korwin-Mikke. Jeden młody, narwany, piosenkarz, kto wie, czy nie ćpun jaki albo pijak, bo te w szkołbiznesach to wypić lubią... Różnie z nim by mogło być, może jaki podstawiony... A drugi wariat, psychiczny ewidentnie... I dlatego koniecznie większość musimy mieć! A jak większość będzie, to w końcu się pogoni to całe tałatajstwo, państwo się oczyści, porządek się zrobi i złodziei się pozamyka w kryminałach...! Panowie. – Marian uroczyście przemówił do kompanów. – Do wyborów dwa miesiące. Ogłaszam pełną mobilizację! Nasze głosy nie wystarczą, więc

wychodzimy do ludzi, agitujemy, namawiamy. Każdy głos jest na wagę złota! Rodzinę, znajomych ciśniemy. Rodzinę dużą masz, Wiesiu? Kontakt z kimś utrzymujesz? – zwrócił się do Profesora.

– Nikogo już nie mam. Sam jak palec na świecie zostałem. – Profesor mówił wolno, jego oczy były martwe.

– A ty, Jasiu? – zapytał Klepka.

– Matula i tatko dawno pomarli. Brata Antka mam w Cykarzewie. U kowala pomaga, jak nie pije. Siostra moja, Kaśka, matka Ryśka – wskazał na siostrzeńca – w Lubojence mieszka, krowy dziedzicowi, znaczy się takim bogaczowi ze wsi, pasie, a bida tam taka, że aż Rysio za chlebem do miasta musiał przyjechać. Ze trzy lata już będzie, jak Antka żona na raka umarła. Dzieci ma dwójkę: Luśkę i Wojtka. Luśka za milicjanta poszła z sąsiedniej wsi, ale on strasznie zawzięty był i ciągiem ją łał, aż się kobita...

– Dobra, Jasiu, wystarczy. – Marian się zniecierpliwił. – Trzeba będzie w takim razie najpierw znajomych ponamawiać, pouświadamiać politycznie, potem można jakieś ulotki u nas na dzielnicy poroznosić. Ty, Wiesiu, coś mógłbyś napisać, w końcu magistra masz, mój Bartek by wydrukował. Balony jakieś biało-czerwone dzieciom porozdawać, lizaki z orłem...

Klepka nagle umilkł i zaczął intensywnie myśleć. Nikt nie śmiał mu przerywać.

– Mam! – krzyknął po chwili. – Na tej ulotce mogłoby być tak: na górze tłustym drukiem STOP ZŁODZIEJSTWU, NEPOTYZMOWI, KOLESIOSTWU, KOMUNISTYCZNYM AGENTOM I BEZBOŻNOŚCI i potem niżej: recepta jest jedna – PRAWO I SPRAWIEDLIWOŚĆ, znowu na tłusto, i pod tym: UCZCIWOŚĆ, RZETELNOŚĆ, KOMPETENTNOŚĆ, i na samym dole: PS. BEZ BOGA ANI DO PROGA... Nie, to nie może być na dole, to trzeba by dać na samej górze... Zresztą to jeszcze się zobaczy...

– Maaarian!!! – Przeciągnął, zawodzący krzyk doszedł od strony najbliższego wieżowca.

– Oj, muszę lecieć, panowie. Małżonka wróciła z Jasnej Góry. – Marian zaczął się zbierać.

Jaś wymownie spojrzał na siostrzeńca i ten zwrócił się do Klepki:

– Panie Marianie, ja żech chciał przeprosić za te SKOK-i.

– Dobrze jest, młody. Zrehabilitujesz się w kampanii, ulotki poroznosisz, balonów podmuchasz. I mów mi Marian. – Uścisnęli sobie dłonie.

– O ludzie słodcy, gdzież on się znowu podziewa?! – krzyknęła Klepkowa, a jej mąż emeryckim truchtem ruszył w stronę domu.

Wyglądał jak ktoś, na kogo nie zwraca się uwagi. Lekka nadwaga, pospolita twarz, łysawy, nieznacznym siwy

wąsik, szary garnitur pamiętający komunę i sandały na białe skarpetki.

– Na mnie też już czas – powiedział Profesor, dopił piwo i ociężale podniósł się z ławki.

Miał prawie dwa metry wzrostu. Kiedyś wyglądał jak gladiator, ale teraz, na skutek niezdrowego trybu życia, bardziej przypominał wielkiego patyczaka. Miał ogorzałą twarz, duży orli nos, wystające kości policzkowe i zaczesane do tyłu, gęste, opadające na ramiona siwe włosy. Był rówieśnikiem Klepki.

– A co ty taki, Wiesiu, ostatnio nieswój jesteś? – za-
pytał Jaś. – Sam pijesz, ludzi unikasz...

– Życ mi się nie chce... – westchnął Profesor i odszedł bez pożegnania.

– Ciekawy człowiek... – wyszeptał Jasio, wpatrzony w oddalającą się chwiejnie sylwetkę. – Tera to jest wrak człowieka – zwrócił się do siostrzeńca – ale kiedyś to ho, ho... Łebski gość! Matematyk z wykształcenia, ale zdolniacha na każdym polu i czytany jak mało kto. On u nas na politechnice pracował, doktoraty robił, wynalazki jakieś miał, książki naukowe pisał, ale w opozycji się udzielał, w Solidarności, i go na zbity pysk z roboty wypierdolili... Legenda miejskiej opozycji, co sam jeden na czołgi na manifestacji w osiemdziesiątym drugim szturmował, cudem życia nie tracąc. Nie wiem, czy nawet trochę przez to nie posiedział... A potem w liceum matematyki zaczął uczyć i tak do emerytury dociągnął. Żona

mu parę lat temu umarła i rozpił się wtedy na całego... Wcześniej też pił, ale po śmierci kobity, a dziewczucha była pierwsza liga, piękna kobita, wysoka, blondyna, dużo młodsza od niego, na raka umarła, to potem już zupełnie się zatracił, że się zdarzało, że w krzakach pijany, zaszczany leżał... A jaki to był przystojniacha... Tera to jest wrak człowieka, ale kiedyś to był chłop jak dąb, zawsze odpicowany, marynara, krawat... A z kobitą jak pod rękę tu po naszej promenadzie spacerowali, to się wszyscy za nimi oglądali... Piękna para była... A tera zapuścił się chłop strasznie... Nie dalej jak kilka lat do tyłu to na korepetycje jeszcze do niego przychodzili, ale tera to raz że ciągiem pije, to nijak by tam kogo czego nauczył, a dwa że w mieszkaniu, a tu mieszka, w tym bloku co Marian kawalerkę ma, to tam ma tak zapuszczone, że ho, ho... Wiem, bo byłem niedawno, żeby mu meble pomóc powynosić, co on te meble za wódkę oddawał takiemu cwaniakowi ze śródmieścia, to grzyby na ścianach, co kurzu, co butelek, co śmieci, szpargałów co niemiara i książek od cholery, bo to człowiek wykształcony, odcytany, a pewno sprzedać ich nie idzie, bo kto tam w dzisiejszych czasach książki czyta, jak ino w te internety jeden z drugim ślepią... A ty, Rysiek, szkołę żeś jakąś w ogóle skończył?

– Ino sześć klas, wujek.

– Toś ty drygu do nauki nie miał... Do Zajaków żeś się podał, bo u nas w rodzinie wszyscy naukowo usposobieni byli, tyle że warunków do nauki nie było... Matka

twoja, Katarzyna, na ten przykład szkołę podstawową całą ukończyła, a potem do szkoły zawodowej fryzjerskiej się szykowała, ale toby trzeba było ze wsi do miasta wyjechać, internat, utrzymanie, koszty, a w domu się nie przelewało, to i została... A ja, proszę cię, po szkole podstawowej do szkoły zawodowej samochodowej uczęszczałem. W mieście w internacie mieszkałem, a grosza prawie z domu nie brałem, bo od najmłodszych lat pracy byłem nauczony... Butelki się zbierało, makulaturę, złom... Zawodówkę ukończyłem i do technikum zamyślałem wieczorowo uczęszczać, ale bida była i trzeba było do roboty się wziąć, to mechanikiem zostałem w Trans-Budzie. Pieniądz był, dziewczyny, imprezy, złote czasy... A ty, Rysiu, fach jakiś w ręku masz?

– Że co?

– No co umiesz robić?

– Ja to ino, wujek, do wypitki i do ruchania. – Rysiek wybuchnął śmiechem.

Jasio przyglądał mu się uważnie przez dobrą minutę. Następnie kazał mężczyźnie wstać, wypiąć pierś i napiąć pośladki. Zajrzał mu do ust, sprawdzając stan uzębienia, pomacał po bicepsach i udach, a potem zaczął intensywnie myśleć, nie spuszczać oczu z siostrzeńca.

– Co ty, wujek, homo-niewiadomo? – Zając był wyraźnie zaniepokojony.

– Ja ci, kurwa, zara zrobię homo-niewiadomo, ośle jeden! – Jaś zaczął wygrażać pięściami. – Życie ci w mieście próbuję ułożyć, jełopie, żebyś z głodu nie zdechł!

– No nie gniewojcie się, wujo. – Rysiek skulił się w przepaszającej pozie. – Tak ino palłem.

– Na przyszłość pomyśl trochę, zanim głupotę palniesz!

– Już bede uważał... A coście mnie się tak, wujek, przyglondoli jako temu koniowi na targu?

– A bo właśnie widzisz, synek, na sprzedaż idziesz.

– Jakże to?

– Ano, Rysio, głupi jesteś, na robocie nijakiej się nie wyznajesz, aleś nawet niebrzydki, to ci taką robotę obmyśliłem, że będziesz ruchał za pieniądze.

– Kurwom mynskom mam ci ja być?! – zirytował się Zając.

– Nie kurwą, tylko żigolo, i nie będziesz pod latarnią stał, tylko ci Halinę, właścicielkę sklepu, usposobię, co lata, po prawdzie, już swoje ma, bo sześćdziesiątki dobija, ale wdowa jest i wielce na chłopów napalona. Kobita bogata, zadbana, czysta. Najładniejsza może nie jest, bo grube toto niebywale, ale jakbyś się uczył, to byś tera młodsze ruchał. A tak po prawdzie, toś ty też już nie nastolatek, bo czterdziestkę prawie na karku masz, to i wybrzydzać nie można. Jutro niedziela, wykąpiesz się, ogolisz, garniak mój stary wdziejesz, trochę będzie maławy, ale tera taka moda obcisła, i na sumę pójdziemy. Potem, jak co niedziela, na piwo do knajpy na promenadę pod parasole Marian nas zabierze, kilka wypijesz, ale nie za dużo, żebyś mi się dobrze prezentował, i do

spożywcza pójdziemy, a tam w niedzielę Halina zawsze sama obsługuje, tej swojej Mariolce pryszczatej wolne daje, co by ta mogła se trochę dychnąć, bo cały tydzień zapierdala, i cię przedstawię. Ty nic gadał nie będziesz, boś głupi i jeszcze coś palniesz. Ja będę gadał, a jak wszystko dobrze pójdzie, to cię wieczorem Halina do domu zaprosi, a ładny ma domek, niedaleko stąd, z ogródkiem. Tam też się nie rozgaduj, nie komentuj, tylko do ruchania od razu się bierz. I grzecznie: dobry wieczór, dziękuję, proszę. Jak się sprawisz, to obiadki będziesz dobre jadał, wino popijał, naleweczki swojskie, bo Halina bardzo dobre robi, a i na zeszyt ze sklepu brać na pewno pozwoli.

– A cóżeś ty taki, wujo, łobeznany? Tyż żeś jom ruchół?

– Nie interesuj się, młody! Różnie bywało... Powiem ci tylko, że mało który chłop tu na dzielnicy jej nie miał. Oczywiście mówię o wolnych strzelcach spod sklepu, takich jak my... Ale obiadki i wino to tylko najlepsi dostawali...

Wolni strzelcy posuwistym krokiem opuścili niewielki osiedlowy park graniczący z promenadą i ruszyli do pobliskiego sklepu spożywczo-monopolowego, gdzie za ostatnie pieniądze kupili u pryszczatej Mariolki dwie najtańsze nalewki na spirytusie, paczkę vicerojów, konserwę rybną i pół chleba. Chwilę później wylądowali w kawalerce Jasia na parterze czteropiętrowego spółdzielczego bloku. Jako że prąd w mieszkaniu był odcięty,

zjedli i wypili przy naftowej lampce, po czym poszli spać. Jaś na wysłużonej wersalce, jego siostrzeniec na stercie brudnych łachów na podłodze.

2.

Jan Drewniak, znany na dzielnicy jako Pchelka, obudził się o czwartej nad ranem i targany delirycznymi drgawkami, z trudem łapiąc oddech, zaczął po omacku spijać resztki z rozsianych po całym pomieszczeniu butelek, robiąc przy tym dużo hałasu.

– Jezus Maria... Boże, dopomóż... Diabli nadali... Zemrę, jak Boga kocham, nie zdzierzę... – jęczał, miotając się na czworakach w całkowitej ciemności.

– Co jest?! Jest ci tu kto?! – Wystraszony Rysiek Zajęc zerwał się na równe nogi.

– To ja, Rysio, wujek... Umieram, synek... Umieram...

– Jezusie słodki, co ci, wujo?! – Zajęc zapalił zapalną i ujrzał wujka na podłodze w pozycji embrionalnej.

– Delira mnie dopadła, Rysiu... Diabły nadały, kuuurwa... Nie zdzierzę, jak Boga kocham, nie zdzierzę... Leć na górkę do całodobowego...

– Grosza ni mom.

– Na oknie słoik jest... Z drobniakami... Idźże, synek, bo ci wujek zejdzie...

Rysiek porwał słoik i wyszedł. Na styku nocy i dnia podążył szybkim krokiem do oddalonego o kilkaset

metrów całodobowego na górcę. Dopiero w świetle małego sklepowego okienka wyciętego w wielkich metalowych drzwiach otwieranych tylko za dnia przeliczył bilon. Było dwa złote i dwadzieścia groszy. Wysepił złoty osiemdziesiąt od dwóch pijanych studentów, kupił napój winopodobny o nazwie Twierdza i pognał z powrotem. Drewniak pochłonął trunka tak szybko, że przyszedł żigolo nie zdążył nawet powiedzieć „zostawcie troszku, wujek”.

– No, lepiej... – Jaś odetchnął z ulgą i zapalił papierosa. – Ale mnie chybiło... Dawno takiej telepi nie miałem... Kończy się człowiek...

– Ejże tam, wujo... Matula gadali, co ciebie to żadne lichy nie weźnie.

– Ej, głupiś, Rysiek... Sześćdziesiąty piąty rok mnie idzie... Zdrowie już nie to... Dawniej człowiek miesiącami pił, pracował normalnie, ruchał ile wlezie, a tera... Kaplica, synek... No, kimnijmy jeszcze kapkę, a potem polecimy się wykąpać do Zenka Maślanki. Nade mną mieszka, ale tera mieszkanie puste stoi. Zenek do kobity do śródmieścia się przeniósł i ten lokal na wynajem szykuje, a że ja mu tam trochę remontuję, to klucze mam.

Trzy godziny później Jasio i Rysiek zjedli na śniadanie resztki konserwy z wczoraj i zaopatrzeni w zbutwiałe ręczniki, w samych gaciach podreptali do mieszkania piętro wyżej. Eskapada była konieczna, gdyż w mieszkaniu Drewniaka oprócz prądu odcięto także dopływ gazu i wody.

Kawalerka Zenka Maślanki była pozbawiona jakichkolwiek mebli. Na podłodze zalegały zwały gruzu, a w powietrzu wisiał gęsty biały pył. Wolni strzelcy wykąпали się po kolei w brudnej wannie i ogolili się jedną maszynką. Zając jeszcze przystrzygł wąsa znalezionymi na podłodze nożyczkami do paznokci i już mieli wychodzić, kiedy Jasio dostrzegł pod oknem niedopitą flaszkę wódki. Po sekundzie trzymał ją w drżącej dłoni.

– Ale nam się, synek, trafiło – stwierdził z uśmiechem, wprawnym okiem oceniając gramaturę pozostałego w butelce trunku. – Sto pięćdziesiąt gram jak nic. – Oblizął wargi i pociągnął z gwinta, pozostawiając siostrzeńcowi nie więcej niż pięćdziesiątkę. – Józek musiał zostawić, elektryk... Wczoraj na robocie tu był, pewnie se na poniedziałek na rano do śniadania zostawił... Józek jak sety przed robotą nie wypije, to nie zacznie, a potem po każdym punkcie kolejna seta. – Drewniak zaczął rozglądać się po pomieszczeniu. – A widzisz, są dwa kontakty na gotowo i trzeci podkuty, ale jeszcze nie gipsował i nie założył, i dlatego tylko pięćdziesiątkę wypił, czyli sto przed robotą, po sto za każdy punkt, pięćdziesiąt za ten nieskończony i dla nas zostało z flaszki sto pięćdziesiąt. I całe szczęście, że się Józio do roboty wczoraj nie palił, bo byśmy o suchym pysku na sumę szli, a tak przynajmniej człowiek spokojniejszy w kościele będzie i lepiej do Pana Boga się pomodli, a o marną setuchnę to się przecie Pan Jezus nie obrazi.

Godzinę później wuj z siostrzeńcem wygrzewali się w sierpniowym słońcu na ławce w osiedlowym parku, oczekując dzwonów na sumę. Rysiek miał na sobie znożony brązowy garnitur wuja, jego niegdyś białą, a teraz pożółkłą koszulę i szeroki krawat w niebieskie grochy, modny kiedy Ryska nie było jeszcze na świecie. Nogawki sięgały mu do połowy łydki, a rękawy kończyły się zaraz za łokciami. Garnitur był tak obcisły, że Zając, w obawie przed tym, żeby nie puściły szwy, bał się wykonywać jakiegokolwiek gwałtowniejsze ruchy, swoją toporną motoryką przypominając potwora Frankenstein. Zalizane na mokro do tyłu czarne włosy i przystrzyżony à la Zorro czarny wąs dopełniały wizerunku przyszłego osiedlowego żigolo dla ubogich. I tylko buty psuły oryginalny look wypracowany przez wuja – wysłużone gumowe klapki z napisem „Kubota” – ale Rysio innych butów nie miał, a Jasiowe mokasyny z frędzlami były o trzy numery za małe i pomimo usilnych starań nijak nie chciały wejść na stopę żigolaka. I jeszcze białe skarpety frotte, poszarzałe od ulicznego kurzu...

Jako że Jaś najlepsze ciuchy użyczył siostrzeńcowi, był zmuszony wdziać swój drugi co do wytworności zestaw garderobiany, to jest pamiętające stan wojenny džinsy Wrangler, przywiezione z Ameryki przez znajomego i kupione za horrendalne pieniądze, i wypłowiałą koszulkę polo, podróbkę Lacoste, w latach osiemdziesiątych przywiezioną z Turcji przez Zenka Maślankę. Na nogach miał

mokasyny z frędzlami, które nie weszły na Ryśka, a na twarzy wielkie okulary przeciwsłoneczne z lat siedemdziesiątych à la inżynier Mamoń z *Rejsu*. W ogóle był podobny do Maklakiewicza, tyle że mniejszy, gdyż mierzył niecałe sto sześćdziesiąt centymetrów. Z resztek rzadkich siwych włosów porastających jego potylicę i skronie, gęstym grzebykiem, zwyczajowo wetkniętym do tylnej kieszeni spodni, zrobił sobie pożyczkę, która miała zakryć rozległą łysinę, ale nie zdołała nawet w połowie.

– Suszy, wujo, sakramencko. – Rysiu rzucał pożądliwe spojrzenia w kierunku spożywczo-monopolowego.

– Wytrzymaj, synek. Po sumie se poużywasz. Marian w niedzielę nie skąpi, a piwo dobre kupuje, z kija, w lokalu, jak należy...

Niewielki osiedlowy park z jednej strony sąsiadował z największą w mieście promenadą, pełną placów zabaw dla dzieci i knajp z parasolami, z drugiej z monumentalnym kościołem, który został zaprojektowany tak, by jego bryła przypominała ręce złożone do modlitwy. Pogoda była piękna, więc do kościoła i na promenadę ciągnęły tabuny odświętnie ubranych ludzi. Kiedy kwadrans przed południem rozległy się dzwony wzywające na sumę, wolni strzelcy niemrawo podreptali przed kościół, gdzie obserwowali wchodzących do świątyni parafian. Kiedy mijali ich Klepkowie, Jasio kazał Ryśkowi zostać na miejscu, a sam zbliżył się do nich i wytwornie się kłaniając, przemówił swoim ochrypłym głosem:

– Witam szanownych państwa. Pani Bożena wygląda dzisiaj olśniewająco.

Następnie drżącą ręką ujął dłoń Klepkowej i musnął ją suchymi wargami, po czym uściśnął dłoń Mariana i służalczo zgarbiony wycofał się do miejsca, w którym oczekiwał na niego siostrzeniec.

– Marian, mógłbyś sobie lepsze towarzystwo znaleźć – wyszepnęła Bożena do męża, kiedy przekraczali próg świątyni.

Kwadrans przed końcem mszy wuj z siostrzeńcem opuścili kościół i nerwowo przestępując z nogi na nogę, oczekiwali na Klepkę przy pobliskiej alejce prowadzącej na promenadę. Dołączył do nich roztrzęsiony, nieogolony Profesor w kiedyś pasującym, a teraz dużo za dużym, znoszonym lnianym garniturze.

– Wiesiu, a co to cię w kościele nie było? – zapytał Jasio.

– Kryzys miałem... – westchnął Profesor.

– Marian nie będzie zadowolony – stwierdził Drewniak.

Profesor, przytłoczony walką z totalnym kacem, nie odpowiedział.

Msza się skończyła i odświętnie ubrany tłum zaczął wylewać się z wnętrza świątyni.

– Marianie, tylko jedno piwo i za godzinę proszę na obiad. – Klepkowa zwróciła się do męża tonem nieznośnym sprzeciwu. – To twoje szemrane towarzystwo

doprowadza mnie do białej gorączki. – Rzuciła pogardliwe spojrzenie w kierunku dygocącej trójcy oddalanej o kilkadziesiąt metrów.

– Oj, Bożenko, to porządne chłopaki, życie ich ciężko doświadczyło. – Marian bez przekonania w głosie próbował usprawiedliwić kolegów.

– O ludzie słodcy, ten znowu swoje – westchnęła Klepkowa. – A żebyś mnie za godzinę był z powrotem – dodała na odchodnym i poszła do domu klepać schabowe.

– A co to cię, Wiesiu, w kościele nie było? – zapytał Klepka, witając się ze wszystkimi.

– Kryzys miałem.

– Oj, Wiesiek, Wiesiek... – Klepka z politowaniem spojrział na kolegę. – A tak się ładnie dzisiaj odprawiało... Pamiętaj, że bez Boga ani do proga...! No trudno, w tygodniu pójdziesz, a tera lecimy na piwo.

Cała czwórka przemieściła się sprawnie do pobliskiego baru „Promenada” i rozsiadła się wygodnie na białych plastikach pod parasolem. Z wnętrza okrągłego, oszklonego lokalu otoczonego parasolami wyłoniła się młoda kelnerka i podeszła do stolika.

– Co będzie dla panów? – zapytała z wymuszonym uśmiechem.

– Cztery tyskie – zaordynował Marian.

– A chyżo, panienko! – krzyknął Profesor za odchodzącą niemrawo kelnerką.

Po chwili na stole wylądowały cztery pełne kufle. Marian wstał.

– Zdrowie prezesa i ojca dyrektora! – wzniósł toast i wypił łyk. – Żeby nam kraj z szumowin ubeckich oczyścili... – dodał, patrząc na towarzyszy odrywających wilgotne usta od pustych kufli. – Oj, chłopaki, chłopaki... – Westchnął. – Każdy lubi wypić, ale trzeba się oszczędzać trochę... Jak tak dalej pójdzie, to się na śmierć zapijecie... A tu trzeba żyć! Historyczny moment się zbliża. Prezydenta już mamy, za pasem wybory, sondaże po naszej stronie, kraj wolny w końcu może będziemy mieli... Za tych ubeków się wezmą, emerytury pozabierać, poczyścić te pajęczyny czerwone, układy, podatki ponakładać na banki, supermarkiety, to żydostwo całe pogonić, a ruskich za pysk, bo ruskiego tylko za pysk można, bo inaczej jak ruski zobaczy, że się boisz, to cię zeżre, a nie jak Tusk na kolanach... Wrak niech oddają! W Katyniu nam całą inteligencję wymordowali, a teraz nam prezydenta zabili! I jeszcze rannych dobijali, bo przecie...

– Panie, nie krzycz pan tak, bo się rozmawiać nie da – przerwał Marianowi dobrze ubrany mężczyzna w średnim wieku, zajmujący wraz z kolegą sąsiedni stół. – Kurwa, oszołom nam się trafił – wyszeptał do kolegi.

Na jego nieszczęście został usłyszany przez Klepkę, który spojrzął wymownie na Profesora i ten zwrócił się do sąsiadów:

– Będą panowie łaskawi natychmiast opuścić ten lokal.

– Spieprzaj, dziadu – rzucił kolega.

Profesor wstał. Jego dwumetrowe ciało, pocięta bruzdami, ogorzała twarz i stanowcze spojrzenie zasiało niepokój wśród mężczyzn.

– Wypierdalać! – rozkazał niskim, ochryplym głosem. Mężczyźni pośpiesznie opuścili bar „Promenada”.

– Platformersy, kurwa jego mać! – Marian nie krył wściekłości. – Gówniarzeria! Pewnie jeden z drugim grzeją dupy na państwowych posadach, to im tak jak jest, pasuje! Albo interesy robią popodwieszani pod byłych funkcjonariuszy WSI, pod agentów, co nam kraj pajęczyną czerwoną oplekli. Kradną, VAT-y wyłudniają. Mafia normalna...! Ale wszystko wyjdzie. Już wychodzi. Wystarczy Telewizję Trwam włączyć, Telewizję Republika, „Gazeta Polska” jest, Sumlińskiego poczytać. Jeszcze się złodziei, zdrajców narodu do kryminalów posadza! Jeszcze prawda zwycięży! Prawda nas wyzwoli, jak mówił Ojciec Święty...! Ale mnie ciśnienie szczyłe podniosły... – Klepka ciężko odetchnął i zaczął rozglądać się za kelnerką. – Napijemy się na uspokojenie. Leć no tam, młody, do baru, kelnerkę zawezwij – rozkazał Ryśkowi.

Po kilku sekundach Rysiek przechylił się przez próg oszklonego lokalu i krzyknął do kelnerki, która rozmawiała z barmanką:

– Eee! Niech no tam do nas przylezie do stołu!

Kiedy Marian zamówił cztery pięćdziesiątki czystej wódki i cztery piwa, reszcie załogi zaświeciły się oczy.

– Mocne alkohole podajemy tylko na czterdziestki – oznajmiła kelnerka.

– Jakże to?! – wyrwał się oburzony tym faktem Zajęc.

– Spokojnie, synek. Unia nam takie przepisy zafundowała. Marian tylko z przyzwyczajenia pińdziesiąt zamawia – wyjaśnił siostrzeńcowi Jasio. – To żeś nie zauważył, że ćwiartek już w sklepach nie ma, tylko po dwieście sprzedają? I zamiast zero siedem pięć, po siedemset...? To też Unia.

– No to, to ja wim, ale że w karczmie miastowej ino po czterdziści sprzedawajom, to żech nie wiedziół, bo u nas na wiosce normalnie lejom, po pińdziesiąt.

Kiedy trunki wjechały na stół, Marian wstał i uroczyście przemówił:

– Wznoszę toast za Wiesława Rozwadowskiego. Postać to szanowana, były opozycjonista i dobry kolega. I widać posłuch na dzielnicy jeszcze ma, bo tych dwóch gówniarzy pięknie pogonił.

– Zdrowie! – krzyknęli wuj z siostrzeńcem i wszyscy opróżnili kieliszki.

Po chwili powstał Jaś, podniósł do góry kufel i zaczął mówić:

– Wypijmy za zdrowie naszego dobroczyńcy, hojnego i szanownego Polaka, wzorowego katolika i patrioty

Mariana Klepki, który nie tylko o cały kraj się troszczy, ale też o biednych kolegów, grosza nie skąpi i w potrzebie zawsze liczyć na niego można.

– Na zdrowie! – Zabrział chór przepitych głosów.

– No, dziękuję wam, koledzy. – Klepka nie krył wzruszenia. – Miło było, ale na mnie już czas. Kobita z obiadem czeka. Po piwku wam jeszcze wezmę i uciekam.

Zawołał kelnerkę, zamówił trzy piwa, zapłacił za wszystko, uściśnął dłonie towarzyszom i lekko zamroczony trunkami podreptał do domu.

Wypity alkohol sprawił, że przy stoliku humory zaczęły dopisywać. Nawet Profesor, który zwykle sprawiał wrażenie pogrążonego w depresji, nieco się rozchmurzył.

– Widzę, Jasiu, że siostrzeniec twój odstrzelony dzisiaj jakby się na jakoweś rendez-vous wybierał. – Profesor nieznacznie się uśmiechnął.

– A wiesz, Wiesiu, że właśnie trafiłeś w punkt, bo przymierzam go dzisiaj do Haliny naszej usposobić, co by młody się trochę przy niej pożywił, bo bida piszczy, a że chłopak jurny, to i on se poużywa i Halina będzie zadowolona z takiego młodzieniaszka. A kto wie, czy jak się jej spodoba, to na zeszyt nie zacznie dawać...

– No to, chłopie – Profesor zwrócił się do Ryśka – szykuj się na ciężką przeprawę. Powiedzieć, że to kobieta w łóżku wymagająca, to nic nie powiedzieć. Jak ci na imię?

– Rysiek.

– Słuchaj, Rysiu, nie wiem, ile kobiet w życiu miałeś, ale takiego egzemplarza jak Halina na pewno nie. Apetyt seksualny tej niewyżytej samicy jest niezaspokajalny.

– Że jak? – Rysiek rozdziawił gębę w niezrozumieniu.

– A tak, synek, że będziesz ruchał, aż ci chuj odpadnie, a jej ciągle będzie mało – wyjaśnił Jasio i razem z Wiesławem wybuchnęli śmiechem.

– Eee, a gdzieżby tam... – burknął Zajac, kiedy śmiechy ustały. – Toć ja u nas na wiosce tyle zech dziewczuch nawyob-racoł i miastowych tyż, co to na lato na wioske zjeżdżajom, co se tam działki powykupowały, a każdy jedno to się łode-ssać łode mnie nie chciała i ino godoły, że takiego ci seksu to w życiu nie mioły. A dzieciaków co zech naruchoł... Co drugie we wiosce to moje. Już zech wujaszkwowi godoł: na niczym ci ja sie nie wyznaje, ino na ruchaniu i na wypitce.

– Człowiek uczy się przez całe życie, drogi Ryszardzie, i jestem pewien, że dogłębny kontakt z naszą Halinką nawet ciebie, tak doświadczonego bałamutnika, nauczy czegoś nowego o kobietach – podsumował Wiesław i poszedł do toalety.

– Ty, wujo, po jakiemu łon godo? Ni jak chłopa nie idzie wyrozumieć.

– Boś tłumok jest, a to jest Profesor, co ma magistra, a prawie doktora się swego czasu dorobił.

– Jak to, wujo?

– A srak! Nie wnikaj, boś za głupi. Wujek jest od gada-nia, a ty od ruchania. Rozumiesz?

– Tera żech zrozumiał.

Kiedy Profesor wrócił, Jaś złożył mu propozycję:

– Słuchaj, Wiesiu, a może ty byś się z nami do sklepu do Haliny wybrał? Gadane masz jak znalazł, kobita cię lubi, szanuje... Swego czasu, jakeś owdowiał, to latała za tobą, że ho, ho. Pójdiesz, trochę młokosa zareklamujesz, a jak się Halina do niego przekona, to i wszystkim nam na dobre wyjdzie, bo na zeszyt może zacznie częściej dawać, a i za synka, jak się sprawdzi, kto wie, czy jakiej flaszki nie postawi. No co, Wiesiu, pójdiesz?

– Z przyjemnością. – Profesor, rozluźniony alkoholem, wyciągnął się na plastikowym krześle i zapalił wiceroja. – Nie było mi jeszcze w życiu dane występować jako rajfur...

Dwóch kandydatów na stręczycieli i jeden kandydat na męską dziwkę nieśpiesznie przemieściło się pod osiedlowy spożywczo-monopolowy sklep Haliny Brytan. Czekali na dogodny moment, kiedy w środku nie będzie klientów.

– Nic się, synek, nie stresuj, będzie dobrze. – Drewniak próbował podnieść na duchu siostrzeńca, wyraźnie zafrasowanego swoją nową rolą. – Nie garb się, głowa do góry i nie gadaj za dużo, żebyś czego głupiego nie palnął. Zresztą Halina jest gaduła, sama jak najęta będzie trajkotała, to i dla ciebie lepiej, boś do gadania niestworzony.

– Oj tak – westchnął Wiesław. – Nasza Halinka sztukę słownych wystąpień rozwinęła w sobie do granic dla przeciętnego zjadacza chleba nieosiągalnych.

Kiedy w końcu sklep chwilowo opustoszał, weszli do środka.

– O jak miło, stara gwardia mnie odwiedziła. – Uśmiechnięta właścicielka wyszła zza lady, żeby przywitać znajomych.

Wyglądała jak podstarzała burdelmama po przejściach: metr osiemdziesiąt wzrostu, plus buty na wysokich koturnach, stukilowe cielsko szczelnie opięte białą sukienką przed kolana z ogromnym dekoltem, z którego wylewały się obfite fragmenty monsturalnych piersi, czarne kabaretki, ostry, kurewski makijaż z brązową tapetą na twarzy, krwistoczerwonymi ustami, czarną henną i sztucznymi, zalotnie podwiniętymi do góry czarnymi rzęsami, a na głowie trwała na barana w postaci burzy blond loków. Z miejsca zaczęła trajkotać:

– No to se, chłopcy, trochę pogadamy, bo się pieruńsko od rana wynudziłam. Same stare dewoty mnie tu dzisiaj nawiedzają. Kobity trochę starsze ode mnie, a jak się jedna z drugą odstrzeli, to uchwój Boże. Szare toto, wypłowiałe, jakby się do trumny zara kłaść miało albo na zamek i po nocy straszyc. A jedna taka przylazła po kościele, pinda z chustką na głowie, w jesionce chyba sprzed wojny, bo stęchlizną od niej na cały sklep zalatywało, i do mnie gada, czy mnie nie wstyd w moim wieku jak nastolatka po sklepie paradować. To ja do niej: a won mnie ze sklepu, łachudro! Na pole i wróble straszyc! Za kudły przez tę chustkę ją złapałam i wyciepałam na zewnątrz. Nie

będzie mnie tu na moim kurwisko stare obrażało...! No ale rozgadałam się, a co tam u was, co to za kawalera żeście mnie tu przyprowadzili? Niebrzydki... – Ponętym wzrokiem omiotła Ryśka. – Zresztą zara pogadamy, na zapleczu chwilkę klapniemy, winka się napijemy, tylko zamknę.

Halina przekręciła klucz w zamku i wywiesiła tabliczkę „Zaraz wracam”. Towarzystwo przeniosło się na zaplecze. Szefowa posadziła wszystkich przy małym turystycznym stoliku na taboretach i do plastikowych kubków rozlała tanie półsłodkie wino.

– A dobrze, że tego Klepki z wami nie ma – znowu zaczęła mleć jęzorem. – Co wy się tak z tym oszołomem ostatnio widzę prowadzacie...? To wariat jest...! Co on mnie tu przylezie, to z miejsca za politykowanie się zabiera. Nie dalej jak wczoraj jego kobita, też wariatka świętojeblowa zresztą, po mąkę go do mnie wysłała, akurat ja stałam, bo mi Mariolka zaniemogła, cholera jedna mi się ostatnio od roboty miga, sklep pełny, ludziska spokojnie stoją, czekają, ten to, ten tamto, po sklepie jak głupia ganiem, upocona, bo spiekota była pieruńska, a ten oszołom mi politykować zaczyna do klientów, agitacje skutecznie, że tylko PiS, że hołotę czerwoną pogonić, że ten złodziej, tamten agent, Telewizję Trwam oglądać każe, „Gazetę Polską” czytać, i widzę, że mi się klientela burzyć zaczyna, a i ja sama też słuchać tego odmieńca już nie mogę, to grzecznie z początku mówię: proszę mnie,

Marianie, nie politykować tutaj, bo to jest sklep a nie sala sejmowa, tu się handluje, a nie za politykę bierze. Ale on nic, dalej swoje, że złodziei powyzamykać, kraj wyczyścić, Smoleńsk wyjaśnić, na ruskich zaczyna nadawać, potem że Kościół lewaki atakują, dzenderów w przedszkolach, w szkołach uczą, czerwone pajęczyny, i już widzę, że jeden z drugim klient coś by mu tam wygarnął, ale wdawać się z wariatem w dyskusję nie chce, bo to przecie ortodoksa nie przegadasz. To ja się uniosłam i jak nie ryklam: cisza mnie tu proszę! Bo ze sklepu wyciepnę! To się uspokoił, ale pod nosem swoje ciągle coś tam trajkotał. A potem jak już kupował, to do mnie gada przy ladzie, że on by mnie to wszystko na spokojnie wytłumaczył, tobym zrozumiała, w jakim złodziejskim państwie my żyjemy. To ja jemu mówię: dziękuję bardzo, co ja mam wiedzieć, to ja wiem, a czasu na pogaduszki nie mam, bo ja interesu pilnować muszę, a nie o dupie Maryni dyskusje prowadzić. To się obruszył i wyszedł, nawet dziękuję, do widzenia nie raczył powiedzieć... A mnie tam, powiem prosto, koło dupy lata, kto będzie rządził, bo te co przy władzy to zawsze kradli, kradną i będą kradli, a czy to będą jedne czy drugie, to dla mnie osobiście znaczenia nie ma żadnego. A jak głosować idę, a zawsze na wybory chodzę, obowiązek obywatelski spełniam, to na ładnego zagłosuję, żeby chociaż taki pożytek z tego wszystkiego mieć, coby se przynajmniej w telewizorze na przystojnego chłopca popatrzeć. A te z PiS-u to brzydkie jeden z drugim. Na

Kaczora patrzeć nie mogę. Małe toto, szpetne, niewydarzone, kobity nie ma, kto wie, czy to nie jaki sodomita albo zoofil, bo z tym kotem mieszka. Ten Brodziński, ten Maciarewicz, wszystko brzydkie, i jeszcze nowy taki jest z Krakowa, Telecki czy Terlecki, siwy, stary, wory pod oczami, jak zbity pies... A Kwaśniewski jak rządził, to aż miło było chłopą pooglądać, chociaż, tak po prawdzie, to kurdupel był, ale jaki zadbany... Garnitury miał zawsze piękne, koszule eleganckie, krawaty, opalony, uczesany, a że pijak, to co? Każdy jeden tam na stanowiskach to nic innego tylko pijaństwo, panienki i złodziejstwo. Każden...! A mnie najbardziej to się ten Giertych podobał. Oszołom, co prawda, ale przystojny. Ja to wysokich lubię, a on kawał chłopą, wysoki, postawny, końska taka trochę uroda, ale od razu widać, że chłop silny, mocny, jakby tak złapał, obłapił to ech... Za jedną noc z takim ogierem to sklep cały bym na niego przepisała... Generalnie te z Platformy bardziej zdecydowanie od tych z PiS-u przystojne są. Taki Olechowski albo Rosati, wysokie to, zadbane aż miło na takich chłopów w telewizorze popatrzeć. Ale ten Schetyna brzydkie, niewydarzony jakiś, nie podoba mi się. I Tusk też. Pizduś taki, mało męski, sepleni... A ten nowy, co to się teraz pojawił, ten Kukiz, to nieładny wcale, wysuszony taki, artysta niby, a wszystko te artyści to pijaki i narkomany. I po co to się do polityki pcha...? Chociaż kobitę ma ładną i córki też niczego sobie dziewczuchy... A tam z nim jeszcze jeden

taki jest Liroj czy Merlin, też niby artysta pozał się Boże. On takie hipy-hopy śpiewał, co to nawet śpiewem nazwać nie można, takie gadane do rytmu. Okropieństwo! Oj, ten to już zupełnie brzydal. Małe toto, rude, grubasek taki na krótkich nóżkach. I gdzie to takie niewydarzone się do telewizora pcha...? A ja to wam, chłopcy, powiem, że jest taki jeden nowy, co się mnie strasznie podoba i ja na niego będę głosować. Z Peeselu przystojniak. Jakoś tak się nazywa Kociniak czy Kamasz. Szefem tam ich niedawno został, wysoki, ładny chłop, młody, ogolony zawsze, poubierany elegancko, wygadany. Bo wcześniej tam w tym Peeselu to same truchła były. Ten Pawlak to jakby go z trumny wyjęli, bee, eee, yyy, mamrotał tam coś pod nosem jak przygłup. Potem go tam podmienił ten Pierdziński czy Piechaciński, i ten to był dopiero koszmar. Na pysku brodawka na brodawce... I gdzie to się takie do polityki pcha...? Nie dziwota, że go odsunęli i młodego, przystojnego wzięli... – Halina westchnęła, jednym haustem opróżniła kubek i zapaliła cienkiego mentolowego LD. – No, rozgadałam się... A wy co takie milczki, co nic nie gadacie? Kawalera mnie przedstawcie. Co to za jeden?

Drewniak zgaślił papierosa w plastikowej popielnicze, dopił wino i wstał.

– To jest, droga Halinko, mój siostrzeniec Ryszard. Bardzo chciałby cię poznać.

– Ciapaty jakiś taki... – Halina zlustrowała Ryśka krytycznym spojrzeniem.

– Eee, Halinka... Jaki on tam ciapaty...? – Jasio położył dłoń na ramieniu siostrzeńca. – Polak z krwi i kości, z dziada pradziada. Przynajmniej od strony matki na sto procent. No może tam od ojca jaka praprababka na jakiego Mongoła czy Turczyzna się zapatrzyła, co to oni u nas przed laty harcowali, ale chłopak zdrowy, jurny, tłumok trochę, ale uczciwy, do rany przyłoż.

– Ja tu bardziej widzę wpływ krwi południowoeuropejskiej. – Profesorskie oko zawisło na twarzy Zająca. – Włochy albo południowa Francja... Optuję za Francją, co można by wiązać z wkroczeniem na ziemie polskie wojsk napoleońskich w początkach dziewiętnastego wieku... Tak czy owak płynąca w żyłach tego młodzieńca gorąca południowa krew czynić go musi osobą temperamentną oraz żywiołowym i namiętym kochankiem.

– Oj, Wiesiu, Wiesiu, potrafisz zachęcić kobietę. – Halina uśmiechnęła się szeroko. – No, ale pohandlować muszę, zbieramy się, chłopcy.

Kiedy wszyscy stali już przy drzwiach, szefowa zwróciła się do Ryśka:

– Niech przyjdzie po mnie o dziesiątej tutaj do sklepu. Do domu mnie odprowadzi. A co tak nic nie mówi? Niech coś powie.

– Bardzom ja ci jest rady, żem szanownom paniom Haline zapoznał – wydukał Rysiek.

– Nie panią, tylko Halinka jestem. – Mięsiłą dłoń musnęła go zalotnie po policzku. – No to na razie,

chłopcy, bo już mnie tu dewoty czekają. Mąki będą kupować i cukry. A wzięłaby jedna z drugą flaszkę wina, wypła ze starym, dupy pomarszczonej mu dała, to może by mniej marudne toto chodziło...

Zanim wyszli, Profesor kupił trzy piwa karpackie supermocne. Niska cena (dwa złote i dziesięć groszy bez kaucji) oraz dziewięcioprocentowa zawartość alkoholu czyniły ostatnimi czasy ów trunek prawdziwym hitem wśród wolnych strzelców.

Zaraz przed sklepem Jasio zwrócił się do siostrzeńca:

– No synek, dobra nasza, spodobałeś się. Profesorowi podziękuj, bo cię zareklamował jak trza.

– Podziękował. – Rysiek dygnął w kierunku Profesora.

– A tera mnie słuchaj uważnie, bo robotę masz. Pójdiesz tera prosto do starej Waciakowej, co na czwartym u mnie w klatce mieszka. Powiesz, żeś jest ode mnie, żeś mój siostrzeniec i dywan przyszedłeś wytrześć.

– Przy niedzieli mom trzepoć?

– Właśnie o to chodzi, że przy niedzieli, bo Waciakowa to stara komunistka, niewierząca, kleru nienawidzi i takie roboty zleca tylko w niedzielę albo w jakie ważniejsze kościelne święta, żeby na złość kobitom z bloku zrobić. Dywan wytrzepiesz, a porządnie mi trzep, żeby hałas był. Odniesiesz i Waciakowa ci da dziesięć złotych, a jak coś tam jeszcze na księży bąkniesz, że darmozjady, pedofile, to może i nawet z piętnaście. Pieniądze weźmiesz, do spozyczaka na górcie pójdiesz i kupisz mleko, sera żółtego

najtańszego, chleb i dwa jabłoci. Do domu zanieiesz i na cmentarz polecisz po kwiaty dla Halinki. Tylko dobre wyszukaj, żebyś mnie przegniłych czy uschniętych nie brał, i nie trupie takie, jak się to one nazywają... chryzantemy, tylko róże jakie wynajdź albo chociaż goździki. Butelkę tam jaką na tym cmentarzu znajdź, wody nalej i wstaw od razu, coby do wieczora się zielsko utrzymało. Prosto z cmentarza do domu, mleka wypij, sera zjedz, prześpij się, żebyś siłę na noc miał, bo sam żeś widział, że Halina jest fest kobita i lekko z nią nie będzie. Z winem na mnie czekaj, sam nie pij, a o papierosy po drodze do wszystkich zagaduj, żeby mnie kilka chociaż do domu przynieść. No ganiaj, synek!

– A piwo? – Rysiek pożądlawie spojrział na trzymane przez Profesora trzy karpackie.

– Nie dla psa kiełbasa! – burknął Jasio. – Już cię tu nie ma!

3.

Profesor z Drewniakiem usadowili się na ławce w parku przy promenadzie. Milczeli, rozkoszując się trunkiem. Ich ogorzałe twarze oświetlało gorące sierpniowe słońce. Mieszkańcy osiedla, głodni niedzielnego rosołu i schabowego, zniknęli w pobliskich wieżowcach z wielkiej płyty, zostawiając wolnych strzelców z krukami i wronami, które pozbawione obecności intruzów krążyły pomiędzy drzewami, kracząc zapamiętałe.

– Powiedz no mi szczerze, Wiesiu. – Jasio spojrzął w przekrwione oczy Profesora. – Co ty w ogóle, chłopie, robisz z takimi ludźmi jak ja czy Marian? Może i ten Marian pieniądze tera jakieś ma, ale to prosty chłop, zwykły elektryk, i to kiepski, a ty jesteś inteligent, człowiek wykształcony, na uczelni żeś pracował, prawdziwym profesorem mogłeś zostać. Co to się porobiło, żeś ty tak zszedł na psy...? A to prawda co mówią, żeś ty w opozycji działał, w Solidarności...?

Profesor pociągnął sążnistego łyka piwa i zapalił wiceroja. Był pijany, co czyniło go rozmownym i skłonny do zwierzeń. Depresja uleciała.

– Widzisz, Jasiu, komunistów nigdy nie lubiłem, ale żeby od razu z nimi walczyć...

– No, ale mówią, żeś ty walczył. Solidarność, strajki jakieś, z esbekami się biłeś podobno...

– W Solidarności chwilę rzeczywiście byłem, strajk studencki poparłem i jednemu esbekowi przypierdoliłem aż miło. I to by było na tyle, jeśli chodzi o moją walkę z systemem, a to wszystko oczywiście dla kobiety... Dla mojej Ewci kochanej...

– Jakże to? Toż to od niejednego słyszałem, żeś ty sam jeden czołgi szturmował w osiemdziesiątym drugim na demonstracji u nas w Alejach.

– Ja też słyszałem, ale z walką z komuną to nic wspólnego niestety nie miało...

– Jak to? Tyś mógł przecie tam zginąć!

– W tamtym momencie, Jasiu, znaczenia to dla mnie nie miało żadnego... W takim stanie byłem, że prawie nic nie pamiętam... Ale rzeczywiście mówili, że mało brakło, a bym pod tym czołgiem wylądował. Szczęśliwie w ostatniej chwili mnie odciągnął znany wtedy w mieście dysydent, nie pamiętam nazwiska, Morawski czy Morawiec...? Po tym go zresztą strasznie zomowcy spalowali, skakali po nim skurwysyny podobno, nogę mu zmiażdżyli i chłop kaleką na całe życie został. A mnie nie pobili, bo tam jeden z tych zomowców co dowodził, to był ojciec mojej studentki, którego dobrze znałem, bo co sesja to do mnie z koniakami przychodził, żeby córeczkę przepchnąć, bo tłumok z niej był straszny. A u tego Józka, teraz sobie przypomniałem, że Józef mu było na imię, Józef Morawiec, to potem w szpitalu byłem, żeby podziękować i on się strasznie wzruszył, że ja życie swoje chciałem dla ojczyzny poświęcić. Nie wyprowadzałem go z błędu, bo trochę mi głupio było. Ja zdrowy, a on, bidula, przez moją głupotę skatowany, ze zmiażdżoną nogą... I fama po mieście poszła, że ja jestem bohater narodowy...

– To ja już, Wiesiek, nic nie rozumiem. Powiedźże mi: jak nie dla ojczyzny, to po kiego chuja ty żeś z gołymi rękami na te czołgi poleciał?

– Takich szczegółów, Jasiu, to ja nie pamiętam... W ciągu wtedy byłem, bo mnie Ewcia przez to moje picie zostawiła... W Kryształowej od rana urzędowałem. Co chwila ktoś wpadał, ktoś wypadał, poruszenie na

mieście. Paru esbeków wjeżdżało, po sto gramów przyjmowali i dalej inwigilować w miasto. Za chwilę znowu jacyś z opozycji dla kurażu przed akcją coś tam na szybko obalili i już ich nie było. A ja piłem równo ze wszystkimi. Ludzi w mieście z każdej opcji znałem, bo wybitnie rozrywkowo byłem usposobiony i kompanem do zabawy byłem przednim. Całe lata siedemdziesiąte przebalowałem... Do partii się nie zapisałem, ale i do opozycji też się nie garnałem. Liczyły się tylko wino, kobiety i śpiew... Uspokoilem się dopiero, jak Ewcię moją na początku lat osiemdziesiątych poznałem. Studentką moją była. Jak to mówią: miłość od pierwszego wejrzenia... Porządna kobieta z dobrej rodziny o tradycjach patriotycznych, a nie jak te kurwy, z którymi się prowadziłem... I ona mnie od tego picia odciągała... W Niezależnym Zrzeszeniu Studentów działała. Strajk studencki u nas na politechnice organizowała i ja ten strajk dla niej poparłem, a potem do Solidarności się zapisałem, też dla niej. Problemy przez to zacząłem mieć, esbecja mnie nachodziła, ale jakoś się od współpracy z nimi migałem, chociaż skurwysyny potrafili człowieka podejść...

– Ale jak to tam, Wiesiu, z tymi czołgami było?

– Ano tak, że ja w końcu przy stoliku z takimi cinkciarzami wylądowałem. To mendi straszne były, konfidenci, ale ja już w takim stanie byłem, że wszystko mi było jedno, i piłem dalej... Jak przez mgłę pamiętam, że z tej Kryształowej potem wyszedłem i nie wiem jak,

ale w samym środku tej całej manifestacji wylądowałem... W amoku jakimś byłem, w delirium, i nienawiść straszną do siebie czułem za to, jakim marnym człowiekiem się stałem i za to, że Ewcię moją skrzywdziłem... Po tym wszystkim na przesłuchaniu powiedziałem, że ze mnie żaden opozycjonista, tylko pijany byłem, kobieta mnie zostawiła i w akcie desperacji postanowiłem ze sobą skończyć, a że piłem właśnie nieopodal, to śmierć pod gąsienicami czołgu, który zobaczyłem po wyjściu z lokalu, wydała mi się bardzo naturalnym sposobem zakończenia żywota... I oni nie wiedzieli, co ze mną zrobić. Chyba mi uwierzyli, tym bardziej że ja właściwie mówiłem prawdę... Ja wtedy chyba naprawdę chciałem się zabić, ale z walką o wolność ojczyzny nic to wspólnego nie miało. A ci z Solidarności zaczęli do mnie przychodzić, gratulować, na odczyty zapraszać, w prasie podziemnej o mnie pisali, że akt niebywalej odwagi, poświęcenia dla uciemnionej ojczyzny, że dobro zniewolonego kraju nad własne życie przedkładałem i takie tam pierdoły... Symbolu potrzebowali i mnie tym symbolem chcieli zrobić... Im ci z opozycji do mnie bardziej, tym znowu esbecy mnie zaczęli nachodzić. I ja tak z nimi wszystkimi pogrywałem, obie strony na dystans trzymając... Ewcia do mnie jako do bohatera narodowego wróciła i nawet na to moje picie oko zaczęła przymykać, tym bardziej że coraz częściej z opozycją piłem. I tak lawirowałem i bym pewnie do okrągłego stołu przelawirował,

gdyby nie jeden szczególnie upierdliwy esbek, menda straszna, ideowiec. Nachodził mnie od czasu manifestacji, wypytywał, ja mu tam coś na odczepnego zawsze szepnąłem, jakieś nieznaczące informacje, bo znaczących nawet nie miałem, bo tak jak ci mówiłem, nie chciałem się w nic angażować, o niczym wiedzieć, nic podpisywać. Chciałem po prostu spokojnie z Ewcią żyć, pracować, z życia póki zdrowie pozwalało korzystać, nie wychylać się. I przyszedł do mnie ten skurwysyn dnia pewnego do gabinetu na uczelnię, koniak przyniósł, wypiliśmy, i standardowo mnie pyta: kto z kim, o czym, gdzie, co mówią i czy podpiszę, a jakbym podpisał i zaczął dostarczać cenne informacje, to oni dobrze zapłacą, doktorat od ręki, habilitacja, dwa, trzy lata i profesorem zostanę, wyjazdy zagraniczne, bankiety, kobiety, apanaże. To ja mu grzecznie mówię, że nie podpiszę, a ten skurwysyn zaczyna mnie szantażować, że niebezpiecznie na mieście, o pobicie przez nieznaną sprawców nietrudno i takie tam esbeckie pierdoły. A ja dalej grzecznie, że żadnych cennych informacji nie posiadam i współpracę z aparatem państwowym zainteresowany nie jestem. Na to on mi mówi, że mam rodziców, narzeczoną i niedobrze by było, gdyby komuś z moich bliskich stała się krzywda. I to już było dla mnie za wiele. Wstałem i przypierdoliłem w pysk, aż się skurwiel nogami nakrył... Podniósł się, otrzepał i zanim wyszedł, powiedział, dokładnie pamiętam: „Już cię, kurwo, nie ma, już po tobie”. I uwzięła się

na mnie menda, a że on oprócz tego, że był esbeckim oficerem, to jeszcze zięcia miał w komitecie wojewódzkim, więc żadne moje kontakty nie pomogły i mnie z uczelni wyrzucili. Jeszcze w międzyczasie dwa razy mnie pobili i okradli, drzwi w mojej kawalerce ktoś podpalił... Sprawcy oczywiście nieznani... Ale jakoś się wszystko powoli zaczęło układać. W liceum zacząłem uczyć. Potem z Ewcią żeśmy się pobrali. Jej rodzice piękne mieszkanie nam sprawili, trzy pokoje z kuchnią, a moją kawalerkę studentom wynajęliśmy. Pierwsze parę lat po ślubie w ogóle nie piłem, a potem owszem zdarzały się ciągi, ale zawsze jakoś z tego z pomocą mojej ślubnej wychodziłem... Dzieci nam Bozia nie dała, ale mieliśmy siebie... Dziesięć lat niedługo będzie, jak moja Ewcia nie żyje. – W przekrwionych, pijanych oczach Profesora błysnęła łza. – Raczyśko ją zeżarło...

– Na to, Wiesiu, siły nijakiej nie ma, a dalej trza jakoś żyć... – Drewniak poklepał kumpla po ramieniu, chcąc dodać mu otuchy. – Dobrze żeś życie miał, kobitę kochaną, komuna cię nie złamała...

– A ty wiesz, Jasiu, że gdyby nie Ewa, to ja bym wtedy podpisał... Tylko w twarz bym jej normalnie spojrzeć nie mógł... A niejeden z tych z mojego środowiska, co to wtedy donosił, to teraz jest bogatym człowiekiem, poważnym naukowcem, autorytetem. Wielu z nich do rad nadzorczych poważnych spółek weszło, co to te spółki zaraz po przełomie przez komunistów były zakładane...

Uwłaszczyły się skurwysyny na majątku państwowym... A ja ich znałem, piłem z nimi... I siedziałbym może teraz na Mazurach w dacy nad jeziorem, koniak sączył i ryby łowił... Całe żeśmy z Ewcią moją Mazury zjeździli... – Profesor westchnął i popadł w pijacką zadumę.

Chwilę milczeli.

– Wiesiu, ale żyć jakoś trzeba – wyrzeźił Jaś i zwiesił smutny wzrok na pustych butelkach po karpackim.

– Ja od dziesięciu lat umieram – wyszeptał Profesor. – Mieszkanie przepiłem, samochód przepiłem, kawalerka cudem się uchowała... Dzięki Marianowi...

– Jakże to ci się lokum dzięki niemu uchowało? – Drewniak wyraźnie się ożywił.

– Bo widzisz, Jasiu, jak ja już wszystko oprócz mojej kawalerki przepiłem, to kredyty brać zacząłem, chwilówki takie, i z miejsca pętla kredytowa zacisnęła się na mojej marnej nieruchomości. Już w przytulisku św. Brata Alberta jedną nogą byłem, ale się po pijanemu Marianowi z moich rozterek zwierzyłem, a on do mnie mówi tak: mnie się w życiu ostatnio poszczęściło, to ja tobie, Wiesławie, pomogę, bo ty jesteś człowiek porządny, prawdziwy patriota, bo ja cię pamiętam, jak ty sam jeden na czołgi na manifestacji w osiemdziesiątym drugim ruszyłeś. I jeszcze mi powiedział, że jakby wtedy więcej takich ludzi jak ja było, to już dawno byśmy w wolnym i bogatym kraju żyli. I Marian mnie spłacił, a było tego prawie trzydzieści tysięcy...

– Łoż kurwa jego mać! – Jasiu złapał się za głowę. – To on tyle pieniędzy ci dał?! Rany boskie, ja tyle to żem w życiu na oczy nie widział! Skąd on miał takie bogactwo?!

– Nie chciał powiedzieć... Mnie było głupio brać, bo wiesz już, jak to z tymi czołgami było, ale że pod ścianą stałem, to wziąłem... A już po wszystkim to oświadczył, że mi pomógł, bo ja muszę na nogi stanąć, ponieważ ciężkie czasy przed nami, kraj zniewolony, bezbożność narasta, lewactwo z Zachodu nadciąga, Putin ze Wschodu kąsa, agenci ubeccy się panoszą, kraj rozkradają, i takich ludzi jak ja teraz bardziej niż kiedykolwiek potrzeba. „Trzymaj się mnie, powiedział, i bądź gotowy, bo nie znamy dnia ani godziny, kiedy nam przyjdzie dla ojczyzny walczyć”.

– Toż on całkiem zdurniał na stare lata – westchnął Drewniak. – A przecie jeszcze niedawno takie to ciche, spokojne było... Słowa nie zamienił, półgębkiem tylko dzień dobry, do widzenia, od wielkiego dzwonu piwo na stojąco wypił, a to i tak wtedy ino o pogodzie gadał. Skąd on tyle tych pieniędzy się nachapał, jak to zwykły elektryk, i to kiepski? U mojej sąsiadki całą instalację spierdolił i jeszcze go przy robocie prąd kilka razy trzepnął że ho, ho...

– Skąd ma pieniądze, mówić nie chciał... Może spadek dostał, może wygrał... Tak czy siak musi być tego niemało, jak lekką ręką mnie trzydziestoma tysiącami wsparł. A co do jego stanu psychicznego, to ja się wcale nie dziwię. Ludzie na starość często się radykalizują i do

Kościół się garną ze strachu przed śmiercią, a w naszym kraju Kościół i polityka idą w parze. Wiesław pieniądze ma, czasu wolnego dużo, Radia Maryja się obsłuchał, Telewizji Trwam i Republiki się naoglądał, to pisowcem został i spiski na każdym kroku dostrzega.

– A ty, Wiesiu, tak szczerze mnie powiedz, co ty o tym całym PiS-ie myślisz? Co to będzie, jak oni te wybory wygrają i się do władzy dorwą? Lepiej będzie czy gorzej?

– Jasiu, dla zwykłego człowieka nic się nie zmienia... Przetasują się tam na górze, poobstawiają swoimi ludźmi wszystko co się da i będą kraść jak wszyscy... Żeby skutecznie rządzić, będą musieli naród przekupić, to coś tam ludziom rzucą. Poza tym wroga będą musieli jakiegoś mieć, żeby ludzie mieli się czego bać i żeby było z kim walczyć i społeczeństwa bronić, a z tym problemu nie ma, bo nie dość, że jest ten cały układ, to jeszcze mają zachodnioeuropejskie lewactwo z pedałami, feministkami, dzenderami, satanistami, no i obowiązkowo ruscy, na których zawsze w potrzebie można liczyć... A jeszcze uchodźcy się szczęśliwie trafili, tak że jakby wygrali, a wszystko na to wskazuje, to na tym ze dwie kadencje spokojnie można jechać. Większości raczej mieć nie będą i koalicję z Kukizem zrobią, ale Kaczor tak to sprytnie rozegra, że już w połowie kadencji PiS ich połknie... Tylko sam Kukiz wkurwiony zostanie...

– A ten niby cały układ to on naprawdę jest czy to jakaś popelina? – Drewniak drapał się po głowie, próbując nadążyć za tokiem myślenia Profesora.

– Jasiu, nikt na świecie władzy za darmo nie odda, jak ma taką możliwość, więc i u nas też się agentura komunistyczna poustawiała jak trzeba. Nakradli się, fortuny zbudowali, ale żeby twierdzić, że oni teraz rządzą krajem, to tak daleko bym się nie posunął... Ważne, przyjacielu, żeby kraj ze skurwysyństwa oczyszczając, w jeszcze większe skurwysyństwo nie popaść...

Jasio rozejrzał się dookoła i zapytał konspiracyjnym szeptem:

– A ty, Wiesiu, na kogo będziesz głosował?

– Na nikogo, nieważny głos oddam... Ale jak już miałbym wybierać, to na Korwina. Niegłupio gada i odkład pamiętam poglądów nie zmienił, w przeciwieństwie do wszystkich innych.

– A ja na SLD. Mów, co chcesz, ale mnie za komuny dobrze było... Robota była, pieniądz był, czuł człowiek, że żyje...

– Młodzi byliśmy wtedy, Jasiu, to i wspomnienia mamy dobre, a teraz niestety to my jesteśmy najemnikami w służbie Prawa i Sprawiedliwości. Uposażenie od Mariana w postaci trunków dostajemy, to trzeba być solidnym i z obowiązków się wywiązywać. Do pewnego stopnia oczywiście... – Profesor westchnął i z trudem

podniósł się z ławki. – No pogadaliśmy, przyjacielu, ale na mnie już czas.

– Ja też lecę. Siostrzeńca muszę na schadzkę wyprawić.

Pożegnali się i każdy ruszył w swoją stronę. Niepewni jutra, poszarpani przez życie...